



KEN FOLLETT

FILARY ZIEMI



Na egzekucję chłopcy wybrali się wcześniej.

Było jeszcze ciemno, kiedy pierwsi trzej czy czterej wysunęli się z szop; w filcowych łapciach stąpali cicho jak koty. Cienka warstwa śniegu pokryła miasteczko niczym świeża farba i ich ślady splamiły tę idealną biel. Przymykali między drewnianymi chatami po zamrożonym błocie w stronę cichego targowiska, gdzie już czekała szubienica.

Mieli w pogardzie wszystko, co cenili starsi. Odrzucali piękno i drwili z dobroci. Pokładali się ze śmiechu na widok kaleki, a kiedy dojrzeli ranne zwierzę, kamienowali je na śmierć. Przechwalali się ranami i bliznami, szczególnie zaś dumni byli z wszelkich okaleczeń — chłopiec bez palca mógłby zostać ich królem. Kochali przemoc i by obejrzeć walkę, przebywali całe mile, a już nigdy nie przepuścili uśmiercania przez powieszenie.

Jeden z wyrostków zakradł się pod rusztowanie, inny wspiął się po schodach, chwycił za gardło i zaciskał palce, wykrzywiając twarz w ponurej parodii duszenia, a pozostali zachłystywali się z podziwu. Przez targowisko, ujadając, przebiegły dwa psy. Młodszy chłopak wyjął jabłko i zaczął je jeść, ale starszy towarzysz walnął go pięścią w nos i zabrał owoc. Zaatakowany wyładował złość, rzucając ostrym kamieniem w psa, który skomląc, pobiegł do domu. Potem nie było nic do roboty, więc stłoczyli się na suchym bruku w przedsionku kościoła, czekając, aż coś zacznie się dziać.

Za okiennicami z grubych desek w otaczających targowisko drewnianych i kamiennych domach zamożnych rzemieślników i kupców zapalały się światła świec. To kuchenne dziewczki i terminatorzy rozniecali ogień i grzali wodę na owsiankę. Kolor nieba z czarnego zmienił się w szary. Mieszkańcy zakutani w ciężkie opończe z surowej wełny wychodzili przez niskie drzwi i trzęsąc się z zimna, schodzili do rzeki po wodę.

Wkrótce na targowisko ściągnęła grupa młodych mężczyzn — parobków, wyrobników i terminatorów. Szturchańcami i kopniakami wyrzucili chłopców z kościelnego przedsionka, po czym zaczęli rozprawiać o śmierci przez

powieszenie, przeciągając się, drapiąc i plując na podłogę z udawaną pewnością siebie. Jeden z nich stwierdził, że jeśli skazany będzie miał szczęście, to kark mu trzaśnie od razu, jak tylko zawisnie, i umrze śmiercią szybką i bezbolesną. Jeśli jednak szczęście mu nie dopisze, to szcerwienieje na twarzy, a usta będą mu się otwierały i zamykały jak rybie wyjętej z wody, dopóki nie zadławi się na śmierć. Inny dodał, że takie umieranie zajmuje tyle czasu, ile przebycie mili, a trzeci rzekł, że może być jeszcze gorzej, bo on widział kiedyś powieszono, którego szyja w chwili śmierci była długa na stopę.

Stare kobiety zgromadziły się po drugiej stronie targowiska, trzymając się jak najdalej od młodzieńców, którzy mieli zwyczaj wyrzaskiwać pod adresem swych babek wulgarne uwagi. Te stare kobiety zawsze wstawiały wcześniej, nawet kiedy nie było już dzieci i niemowląt do pilnowania, rozpałały ogień, a serca miały otwarte, gotowe do wzruszeń. Ich znaną przywódczynią była muskularna wdowa piwowarka, która dołączyła do grupy, tocząc beczkę piwa z taką łatwością, z jaką dziecko toczy kółko. Zanim zdjęła pokrywę, chętni z dzbankami i kubkami już zdążyli skupić się wokół niej.

Strażnik otworzył główną bramę, dostrzegłszy chłopców mieszkających na podgrodziu, w domach przylepionych do muru miejskiego. Niektórzy przynieśli jajka, mleko i świeże masło na sprzedaż, inni przyszli, by kupić piwa lub chleba, a jeszcze inni stanęli na targowisku, czekając na egzekucję.

Co chwila ludziska zadzierali głowy, popatrując na górujący nad miastem zamek. Widzieli dym unoszący się równo z zamkowej kuchni i od czasu do czasu błysk pochodni w otworach strzelniczych kamiennej wieży. Kiedy słońce zaczęło wyglądać spoza grubej warstwy szarych chmur, otworzyły się potężne drewniane wrota i wyłonił się niewielki pochód ludzi. Otwierał go szeryf na czarnym rumaku, a za nim jechał wóz z więźniem zaprzężony w wołu. Za wozem postępowali trzej jeźdźcy i chociaż z daleka nie było widać ich twarzy, po szatach można było poznać, że to rycerz, ksiądz i mnich. Dwaj zbrojni mężowie zamykali pochód.

Wszyscy uczestniczyli w rozprawie, która odbyła się poprzedniego dnia w nawie kościoła. Ksiądz złapał złodzieja na gorącym uczynku, mnich rozpoznał srebrny kielich kościelny jako własność klasztoru, rycerz był panem złodzieja i wskazał go jako zbiega, a szeryf wydał wyrok śmierci.

Podczas gdy orszak wolno opuszczał wzgórze, koło szubienicy zgromadzili się mieszkańcy miasta. Najpóźniej przybyli czołowi obywatele miasta: masarz, piekarz, dwu grabarzy, dwu kowali, płatnerz i wytwórca strzał, wszyscy z żonami.

Nastrój panował osobliwy. Zazwyczaj ludzi cieszyło wykonywanie wyroku. Skazaniec zwykle był złodziejem, a oni złodziei nienawidzili tak, jak mogą nienawidzić ludzie pracujący w pocie czoła, aby dojść do jakiegoś majątku. Ten złodziej był jednak inny. Nikt go nie znał, nie wiedziano, kim jest i skąd pochodzi. Nie okradł nikogo z nich, ale klasztor odległy o dwadzieścia mil, a przedmiotem kradzieży okazał się zdobiony kielich o wartości tak

wielkiej, że nie udałoby się go sprzedać. To nie była szynka, nowy nóż ani dobry pas, nie była to rzecz, której strata mogłaby dotknąć kogoś boleśnie. Nie sposób nienawidzić człowieka za tak bezsensowną zbrodnię. Kiedy wóz z więźniem wjechał na targowisko, rozległo się kilka gwizdów i okrzyków, ale obelgi nie były wyrazem żywionych uczuć. Chłopcy po prostu drwili ze skazańca.

Większość mieszkańców miasta nie oglądała procesu, bo dni sądowe nie były dniami wolnymi od pracy i wszyscy musieli zarabiać na życie. Dopiero teraz widzieli złodzieja po raz pierwszy. Był całkiem młody, gdzieś tak między dwudziestką a trzydziestką, przeciętnej budowy i średniego wzrostu, lecz wyglądał jakoś obco. Skórę miał białą jak śnieg na dachach, jaskrawozielone przenikliwe oczy, a jego włosy były koloru obranej marchwi. Panny uznały, że jest brzydki, staruchy mu współczuły, chłopcy zaś na jego widok śmiali się tak, że aż tarzali się po ziemi.

Szeryf był postacią znaną, ale tych trzech mężczyzn, którzy doprowadzili do skazania złodzieja, mieszkańcy ujrzeli po raz pierwszy. Rycerz, potężny mąż o żółtych włosach, był najwidoczniej osobą ważną, bo jeździł na koniu bojowym, wielkim bydlęciu kosztującym tyle, ile wynosiły dziesięcioletnie zarobki cieśli. Mnich był znacznie starszy, miał lat pięćdziesiąt, a może więcej, wysoki, szczupły; kołysał się w siodle, jakby życie było zbyt nużącym dla niego ciężarem. Postać księdza przykuwała uwagę wszystkich. Był młodym mężczyzną o ostrym nosie, ulizanych czarnych włosach, odziany w czarne suknie. Jechał na kasztanowym ogierze. Miał czujny, groźny wygląd kota, który wywachał gniazdo myszy.

Mały chłopak starannie wycelował i splunął na więźnia. Dobry strzał: dokładnie między oczy. Więzień wykrzyknął przekleństwo i pochylił się w stronę plującego, ale powstrzymały go liny przymocowane do boków wozu. Incydent ten nie byłby wart uwagi, gdyby nie to, że więzień wypowiedział swe słowa w normańskiej francuszczyźnie, języku panów. Czyżby zatem był wysoko urodzony? Czy tylko przebywał daleko od domu? Nikt nie wiedział.

Zapręg zatrzymał się pod szubienicą. Strażnik wspiął się na platformę wozu ze stryczkiem w rękę. Skazany próbował walczyć. Chłopcy wznieśli okrzyki — byliby rozczarowani, gdyby więzień zachował spokój. Jego ruchy krępowały linki przywiązane do kostek i przegubów, ale wykręcał głowę w różne strony, uchylając się przed pętlą. Po chwili strażnik, człek silny, odsunął się o krok i walnął skazańca pięścią w żołądek. Ten zgiął się wpół, a kiedy jął się prostować, strażnik zarzucił pętlę na jego szyję i zacisnął węzeł. Potem zeskoczył na ziemię, naciągnął linę i przywiązał jej drugi koniec do haka białego w belkę szubienicy.

Był to punkt zwrotny. Gdyby więzień teraz zaczął walczyć, tylko przyśpieszyłyby swoją śmierć.

Uzbrojeni mężczyźni rozwiązali więźniowi nogi, ale ręce pozostawili skrupowane. Teraz skazaniec stał sam na platformie wozu. W tłumie zapadła cisza.

W takiej chwili często zdarzały się kłopoty: matka więźnia mogła zacząć krzyczeć, czasami żona podejmowała desperacką próbę ratowania męża. Nieraz więzień wzywał Boga, prosząc o wybaczenie win, albo obrzucał oprawców krwawymi kłótniami. Zbrojni obstawili wóz ze wszystkich stron na wszelki wypadek, gotowi do działania.

I wtedy więzień zaczął śpiewać.

Miał wysoki tenor, bardzo czysty. Słowa były francuskie, ale nawet ci, którzy nie znali tego języka, mogli poznać po żalostnej melodii, że to smutna pieśń o rozstaniu...

*W siatkę ptasznika złapany słowik
Śpiewa piękniej niż kiedykolwiek,
A kiedy piosenka zanika,
Rozluźnia się sidło ptasznika.*

Śpiewał, patrząc na kogoś w tłumie. Stopniowo wokół tej osoby robiło się pusto i wszyscy mogli ją zobaczyć.

Była to piętnastoletnia dziewczyna. Widząc ją, ludzie zastanawiali się, dlaczego wcześniej jej nie zauważyli. Miała długie ciemnobrażowe włosy, obfite i gęste, zbiegające się u nasady szerokiego czoła, co mieszkańcy nazywali diabelskim pazurem. Rysy twarzy były regularne, usta pełne, o zmysłowym wyrazie. Staruchy dostrzegły grubą talię i ciężkie piersi, odgadły, że jest w ciąży, i domyśliły się, kto jest ojcem nienarodzonego jeszcze dziecka. Wszyscy natomiast zwrócili uwagę na jej oczy. Były głęboko osadzone, o intensywnym spojrzeniu i wstrząsającym kolorze złota, tak jasne i docieklive, że kiedy spojrzała na kogoś, to wydawało się, iż patrzy mu prosto w serce i obserwowany odwracał wzrok w obawie, iż pozna wszystkie jego tajemnice. Okrywały ją łachmany, a łzy strumieniami płynęły po policzkach.

Woźnica spoglądał wyczekująco na strażnika, ten zaś czekał, aż szeryf da mu znak gestem. Młody ponury ksiądz trącał szeryfa niecierpliwie łokciem, ale urzędnik nie zwracał na to uwagi. Pozwolił skazańcowi śpiewać dalej. W przerażającej ciszy pieśń brzydkiego człowieka płynęła w dal:

*O zmierzchu ptasznik swoje wziął,
A słowik był w niewoli.
Ptakom i ludziom przychodzi kres,
Lecz piosenka się wyzwoli.*

Kiedy skazaniec skończył, szeryf skinął głową. Strażnik krzyknął „hop!” i smagnął liną bok wołu. Woźnica w tej samej chwili uderzył zwierzę z drugiej strony. Wół szarpnął wóz i skazaniec zawisł w powietrzu. Lina się napружиła, kark pękł z trzaskiem.

Rozległ się przeraźliwy jęk i wszyscy spojrzeli na dziewczynę.

Nie ona jednak jęknęła, lecz stojąca za nią żona płatnerza. Zrobiła to z

powodu dziewczyny, która padła na kolana przed szubienicą i wyprostowała ręce w geście, który zebrany kojarzył się z kłutwą. Ludzie odsuwali się w strachu; wszyscy wiedzieli, że kłutwa rzucona przez niewinnie cierpiących bywa szczególnie skuteczna, a wszyscy podejrzewali, że z tym uśmierceniem nie całkiem było w porządku. Chłopcy stali jak sparaliżowani.

Dziewczyna zwróciła swe hipnotyczne oczy na trzech obcych: rycerza, mnicha i księdza. Potem dzwięcznym głosem wypowiedziała straszne słowa:

— Przeklinam was! Dotknieci będziecie chorobą i smutkiem, głodem i boleścią; wasze domy zostaną strawione przez ogień, a wasze dzieci pomrą na szubienicy; wasi wrogowie będą żyli w dostatku, a wy będziecie się starzeć w smutku i opuszczeniu, a umrzecie w głupocie i męczarniach... — Kiedy mówiła ostatnie słowa, sięgnęła po worek leżący za nią na ziemi i wyjęła z niego żywego koguta. W jej ręku nie wiadomo skąd pojawił się nóż, jednym pociągnięciem obcięła kogutowi łeb.

Ociekającego krwią bezgłowego ptaka dziewczyna cisnęła w czarnowłosego księdza. Rzut był za słaby, ale księdza, mnicha i rycerza, którzy stali obok siebie, spryskała jucha. Trzej mężczyźni odwrócili się z odrazą, krew jednak dosięgła każdego z nich, plamiąc twarze i szaty.

Dziewczyna odwróciła się i uciekła.

Tłum rozstał się przed nią, a potem zamknął. Na chwilę zapanowało wielkie zamieszanie. Wreszcie szeryfowi udało się przyciągnąć uwagę przybocznych i ze złością rozkazał ścigać dziewczynę. Jęli przedzierać się przez ciżbę, szorstko rozpychając mężczyzn, kobiety i dzieci, by zrobić sobie drogę, ale dziewczyny nie było już w zasięgu wzroku. Szeryf nakazał kontynuowanie pościgu, lecz wiedział, że jej nie znajdzie.

Odwrócił się poirytowany. Rycerz, mnich i ksiądz nie patrzyli na pościg. Utkwili wzrok w szubienicy. Martwy złodziej wisiał na stryczku, jego blada twarz zaczynała sinieć, podczas gdy pod lekko kołyszącym się ciałem rzucał się oszalały kogut, bez głowy, ale niepozbawiony życia, znacząc krwawe kółka na śniegu.

Rozdział 1

I

W rozległej dolinie, u stóp wzgórza, obok wartko płynącego potoku Tom stawiał domostwo.

Ściany miały już trzy stopy wysokości i szybko rosły. W promieniach słońca dwu najętych murarzy pracowało statecznie, a kiedy ich kielnie robiły „nabierz-rzuć-klep-klep”, pomocnicy pocili się pod ciężarem wielkich kamiennych bloków. Syn Toma, Alfred, mieszał zaprawę. Głośno liczył szufle, sypiąc piasek do kasty. Cieśla, pracujący obok Toma przy warsztacie, uważnie ociosywał toporem kawał buczyny.

Alfred miał czternaście lat i prawie dorównywał wzrostem Tomowi, który przecież przewyższał o głowę większość mężczyzn. Chłopak był na razie o kilka cali niższy, ale wciąż jeszcze rósł. Byli do siebie bardzo podobni: obaj mieli jasnobrązowe włosy i zielonkawe oczy dające brązowe refleksy. Mówiono, że tworzą piękną parę. Różnica polegała między innymi na tym, że Tom nosił kędzierzawą kasztanową brodę, podczas gdy Alfredowi zaledwie kiełkował blond meszek. Kiedyś chłopak miał takie włosy na głowie, przypomniał sobie z uśmiechem Tom. Teraz, gdy stawał się mężczyzną, Tom życzyłby sobie, aby syn okazywał większe zainteresowanie pracą. Gdyby bowiem wzorem ojca miał zostać murarzem, powinien się jeszcze wiele nauczyć. Na razie Alfreda nudziły i odpychały nauki o zasadach stawiania budowli.

Dom, który budowali, powinien okazać się najbardziej luksusowym budynkiem w promieniu kilku mil. Łukowato sklepiony parter, odporny na ogień, stanowiłby przestronne pomieszczenie do przechowywania dóbr. Do położonej nad nim komnaty, gdzie zamieszkają ludzie, będzie się wchodziło zewnętrznymi schodami. Z tej wysokości łatwo się bronić w razie ataku. Pod ścianą wielkiej sali stanąłby komin wyciągający dym z paleniska, zwykle znajdującego się na środku. Była to prawdziwa innowacja. Tom do tej pory tylko raz widział domostwo z kominem, ale tak bardzo spodobał mu się ten pomysł, że postanowił zbudować go w tym domu. W następnej części, nad

wielką salą, powinna znaleźć się mała komnata sypialna dla hrabiowskich córek, zbyt delikatnych, by spać, jak wszyscy, w wielkiej sali wraz z mężczyznami, służebnymi dziewczkami i psami do polowania. Kuchnię zaś umieści oddzielnie, gdyż w każdej kuchni prędzej czy później wybuchą pożar, a sposobu na to, poza oddaleniem jej od budynku głównego, nie znaleziono. Za bezpieczeństwo wszak płaciło się tylko letnimi potrawami.

Tom robił wejście do domu. Ościeżnice boczne miały być zaokrąglone, by uzyskać efekt kolumnowy — posmak wytworności dla tych, którzy tutaj mieli zamieszkać. Ukośnie przyłożył żelazne dłuto do kamienia i patrząc na drewniany szablon, lekko uderzał młotkiem. Deszczyk kamiennych odprysków spadł z powierzchni zaokrąglającej się powoli w pożądany kształt. Popukał jeszcze. Nadawałaby się nawet do katedry.

Budował już katedrę, to było w Exeter. Z początku traktował tę pracę jak każdą inną. Zezłościł się, kiedy mistrz budowniczy go ostrzegł, że nie wystarczy, by jego praca była taka jak zwykle. Tom wiedział, że jest bardziej staranny niż przeciętny murarz. Potem jednak zrozumiał, o co chodzi — ściany katedry nie mogą być po prostu dobre, to za mało. One muszą być doskonałe. A to dlatego, że katedrę stawia się Bogu, ale także dlatego, że najmniejsze odchylenie od pionu i poziomu może źle odbić się na konstrukcji tak wielkiego budynku. Niechęć Toma przekształciła się w zafascynowanie. Połączenie ogromu budowli z niesamowitą dbałością o najmniejszy nawet szczegół otwarło Tomowi oczy na cudowność tego rzemiosła. Od mistrza w Exeter dowiedział się, jak ważne są proporcje, nauczył się symboliki różnych liczb i niemal magicznych formuł do obliczenia wymiarów ścian czy kątów w spiralnych schodach. Pociągały go te sprawy... i wciągnęły. Nie rozumiał, dlaczego wielu murarzy uważało takie rzeczy za niezrozumiałe.

Po pewnym czasie Tom stał się prawą ręką mistrza budowniczego, gdy zaczął rozumieć stosowane przez niego terminy. Ten człowiek był wspaniałym rzemieślnikiem, lecz kiepskim organizatorem. Kiedy trzeba było zamówić właściwą ilość kamienia, w miarę postępowania prac murarskich, upewnić się co do odpowiedniej liczby narzędzi wytwarzanych przez kowali, wielkości dostawy i wypalania wapna, dostarczania piasku na zaprawę, przydzielania drewna cieślom, a także pobierania pieniędzy od kapituły na płace i opłaty — stawał się bezradny.

Jeśliby Tom został w Exeter do śmierci mistrza, mógłby zająć jego miejsce, ale kapituła wydała wszystkie pieniądze, częściowo wskutek złego zarządzania, więc rzemieślnicy musieli odejść i poszukać pracy gdzie indziej. Tomowi zaproponowano, by został budowniczym exeterskiego kasztelana. Jego praca polegałaby na doglądaniu napraw i powiększaniu fortyfikacji miejskich. Mógł to robić całe życie, o ile nic by się nie zdarzyło. Tom jednak odrzucił tę ofertę, gdyż pragnął budować drugą katedrę.

Jego żona Agnes nie potrafiła pogodzić się z tą decyzją. Mogli przecież mieć porządną kamienny dom i służbę. Mieliby dość pieniędzy i żywności i jedliby codziennie na obiad mięso. Agnes nigdy nie wybaczyła Tomowi

odrzućcia tej szansy. Nie rozumiała, czym dla Toma było budowanie katedry. On zaś widział w tej pracy absorbujące zajęcie, pociągało go zmaganie się z obliczeniami, wielkością murów, a wreszcie podziwiał piękno zapierające dech w piersiach i ogrom ukończonego już budynku. Kiedy raz spróbował tego wina, nie mógł zaspokoić pragnienia niczym lichszym.

To było dziesięć lat temu. Od tej pory nigdzie nie zagrzali miejsca. Tom projektował nowy budynek dla kapituły klasztoru, przez rok czy dwa pracował na zamku, budował w mieście dom bogatemu kupcowi, a gdy zaoszczędził trochę pieniędzy, zabierał żonę i dzieci w drogę, udając się na poszukiwanie katedry w budowie.

Spojrzał ponad warsztatem na Agnes stojącą na skraju placu budowy. Trzymała koszyk z jedzeniem w jednej ręce, a drugą podtrzymywała oparty na biodrze dzbanek z piwem. Było południe. Tom czule patrzył na żonę. Nikt nie mógł nazwać jej śliczną, ale za to twarz zdradzała osobę silną: duże czoło, wielkie brązowe oczy, prosty nos i mocno zarysowana szczęka. Ciemne, wijące się włosy rozdzielała na środku głowy i wiązała z tyłu. Była jego duchową podporą.

Nalała piwa Tomowi i Alfredowi. Przez chwilę stali przy niej, popijając z drewnianych kubków, gdy nagle w podskokach wybiegł z pola pszenicy czwarty członek rodziny — siedmioletnia Martha, śliczna jak żonkil, ale z brakującym płatkim, bo szczyrby po dwu mlecznych zębach nie zdążyły się jeszcze wypełnić. Podbiegła do Toma, ucałowała jego zapyloną brodę i poprosiła o łyk piwa z jego kubka. Objął jej kościste ciało i powiedział:

— Nie pij za dużo, bo wlecisz do rowu.

Martha zaczęła się kołysać i chwiać na nogach, obchodząc grupę w kółko, udając pijaną.

Usiedli na stosie drewna. Agnes podała Tomowi pajdę pszennego chleba, gruby płat gotowanego boczku i niedużą cebulę. Dała jedzenie dzieciom i wreszcie zaczęła jeść sama. Tom pomyślał, że może odrzucenie propozycji pracy w Exeter było nierozważne. „Przecież pomimo mojej lekkomyślności zawsze będę zobowiązany do wykarmienia ich wszystkich”.

Wyjął nożyk z przedniej kieszeni skórzanego fartucha, uciął plasterek cebuli i zjadł z kęsem chleba. Poczuł w ustach jednocześnie słodycz i szczypanie.

— Znów będę miała dziecko — odezwała się Agnes.

Tom przestał żuć i wpatrzył się w nią. Przeniknął go dreszcz zadowolenia. Nie wiedząc, co rzec, po prostu niemądrze się do niej uśmiechał.

— To nie jest aż taką niespodzianką — dodała po chwili, zarumieniona.

Uściskał ją.

— No, no — odparł z wyrazem zadowolenia. — Malec, który będzie mnie ciągnąć za brodę. A już myślałem, że będzie to robić dzieciak Alfreda.

— Nie ciesz się jeszcze tak bardzo — ostrzegła go. — Mówienie o dziecku, zanim się urodzi, przynosi pecha.

Tom pokiwał głową. Agnes miała już kilka poronień, jedno dziecko zmarło

w chwili urodzenia, a była także dziewczynka, Matilda, która umarła, mając zaledwie dwa lata.

— Chciałbym jednak chłopaka — stwierdził. — Bo teraz Alfred jest taki duży. Kiedy to ma być?

— Po Bożym Narodzeniu.

Tom zaczął liczyć. Kamienne mury dałoby się skończyć przed pierwszym przymrozkiem, potem trzeba będzie pokryć je słomą dla ochrony przed zimnem. W czasie chłodnych miesięcy murarze przygotowaliby kamienie na okna, sklepienia, odrzwia i paleniska, a cieśle deski na podłogi oraz wykonaliby drzwi i okiennice. On sam wzniosłby rusztowanie do robót na górze. Wiosną byłby czas na zrobienie sklepienia nad parterem, ułożenie podłogi w wielkiej komnacie i pokrycie budynku dachem. Dzięki tej pracy powinien wykarmić rodzinę do Wielkanocy, a tymczasem dziecko miałoby prawie pół roku. Wtedy mogliby ruszać dalej.

— Doskonale — mruknął. — Doskonale. — Zjadł następny plasterzek cebuli.

— Jestem za stara na dzieci — oznajmiła Agnes. — To musi być ostatnie.

Tom myślał i o tym. Nie był pewny, ile właściwie lat ma Agnes, na pewno nie umiałby wyrazić tego w liczbach, ale sporo kobiet w jej wieku rodziło dzieci. Prawda, że im były starsze, tym bardziej cierpiały, a dzieci nie przychodziły na świat najsilniejsze. Bez wątplenia miała rację. Co jednak ma zamiar zrobić, by mieć pewność, że znów nie pocznie? — zastanawiał się. Nagle uświadomił sobie co i chmura zasnuła jego słoneczny nastrój.

— Może znajdę pracę w mieście — powiedział, próbując ją uspokoić. — Katedrę albo zamek. Potem będziemy mogli mieć wielki dom z drewnianymi podłogami, a także dziewczynę do pomocy przy dziecku.

— Możliwe — rzekła sceptycznie, a jej twarz przybrała surowy wyraz. Nie lubiła słuchać gadania o katedrach. Gdyby Tom nie zaczął pracować przy budowie katedry, mogłaby już mieszkać w miejskim domu i mieć zaoszczędzone pieniądze, bezpiecznie zakopane pod paleniskiem, i żyć bez żadnych zmartwień.

Tom odwrócił wzrok i zajął się następnym plasterkiem cebuli. Mieli z czego się cieszyć, i nagle ta niezgoda. Ogarnęło go przygnębienie. Żuł jeszcze twarde mięso, gdy nagle usłyszał tętent końskich kopyt. Przez zagajnik, omijając wioskę, by skrócić sobie drogę od traktu, pędził jeździec.

W chwilę później młody człowiek przycwałował na górę i zsiadł. Wyglądał na giermka.

— Twój pan przybywa — oświadczył.

— Masz na myśli pana Percy'ego? — Tom wstał. Percy Hamleigh był jednym z najważniejszych ludzi w kraju, właścicielem tej doliny oraz wielu innych, poza tym płacił za budowę tego domu.

— Jego syna — wyjaśnił giermek.

— Młody lord William.

Syn Percy'ego miał zamieszkać w nowym domu po swych zaślubinach z lady Alieną, córką hrabiego Shiring. Był z nią zaręczony.

— We własnej osobie. Na dodatek wściekły.

Tomowi serce zamarło. Nawet w sprzyjających okolicznościach trudno było porozumieć się z właścicielem budowanego domu. Z wściekłym właścicielem to było niemożliwe.

— Czemu się złości?

— Narzeczona go zostawiła.

— Ta córka hrabiego? — spytał zaskoczony Tom. Targnął nim niepokój. Właśnie rozmyślał nad tym, jak się zabezpieczyć na przyszłość... — Sądziłem, że to już postanowione.

— Wszyscy tak myśleliśmy, z wyjątkiem lady Alieny — odpowiedział giermek. — Jak tylko go spotkała, oznajmiła, że nie wyjdzie za niego za skarby świata.

Zmartwiony Tom zmarszczył brwi. Nie chciał, by okazało się to prawdą.

— Ten chłopak wcale nie wygląda tak źle, o ile sobie przypominam.

— To nie ma znaczenia. Gdyby hrabiowskim córkom wolno było poślubić tych, którzy im się spodobają, libybyśmy rządzeni przez minstreli i ciemnoookich banitów — stwierdziła Agnes.

— Dziewczyna może zmienić zdanie — powiedział Tom z nadzieją.

— Zmieni, jeśli jej matka użyje brzozonej różgi — rzekła Agnes.

— Jej matka umarła — oświadczył giermek.

— To wyjaśnia — skinęła głową Agnes — dlaczego córka nie zna życia. Nie rozumiem jednak, dlaczego ojciec jej nie zmusi.

— Powiadają, że obiecał kiedyś nie wydać jej za mąż za kogoś, kto jej się nie spodoba — rzekł giermek.

— Co za głupie przyrzeczenie! — zezłościł się Tom. — Jak mógł potężny pan w taki sposób uzależnić się od dziewczęcego kaprysu? Jej małżeństwo może mieć wpływy na alianse militarne, na majątek... nawet na budowę tego domu.

— Ona ma brata, więc nie jest aż tak ważne, kogo poślubi — odparł giermek.

— Nawet w takim wypadku...

— A hrabia jest stanowczym człowiekiem — ciągnął giermek. — Mówią, że nie złamie raz danego przyrzeczenia, jeśli nawet złożył je dziecku. — Wzruszył ramionami.

Tom patrzył na zręby przyszłego domu. Nie zdołał jeszcze zaoszczędzić wystarczającej ilości pieniędzy, by rodzina mogła przetrwać zimę. Wstrząsnął nim dreszcz.

— A może młody lord znajdzie inną pannę, która zechce dzielić z nim ten dom. Może szukać w całym hrabstwie.

— Na Chrystusa, zdaje się, że to on! — zawołał Alfred załamującym się głosem dojrzewającego chłopca.

Idąc za jego spojrzeniem, popatrzyli na drogę. Przez wieś galopował koń, wzbijając wielką chmurę kurzu i grudek ziemi. To właśnie widok olbrzymiego pędzącego konia spowodował niepokój Alfreda. Tom widywał podobne bestie, ale Alfred prawdopodobnie nigdy nie widział bojowego rumaka.

Takich koni nie hodowano w Anglii, lecz sprowadzano z za mórz i kosztowały niezwykle drogo.

Tom wrzucił resztę chleba do kieszeni fartucha, po czym mrużąc oczy, spojrzął pod słońce na pole. Koń miał stulone uszy, a chrapy rozdęte. Mocno uniesiona głowa zwierzęcia pozwalała przypuszczać, że koń nie poniósł. Kiedy się zbliżyli, jeździec ściągnął wodze, odchylając się do tyłu, a wierzchowiec zwolnił nieco. Teraz Tom poczuł drgania ziemi, w którą bębniły kopyta. Rozejrzał się za Martha, chcąc ją zabrać z drogi, gdzie mogłaby zostać poturbowana. Agnes pomyślała o tym samym. Marthy jednak nie było w pobliżu.

— W pszenicy! — krzyknęła kobieta, ale Tom już podążał przez plac budowy na skraj pola. Zdjęty strachem, przebiegł wzrokiem kołyszący się łąn, lecz nie zobaczył dziecka.

Jedyne, co mu zostało, to spróbować zatrzymać konia. Wkroczył więc na ścieżkę, rozłożył szeroko ramiona i jął zbliżać się do szarżującego rumaka. Koń uniósł łeb i wyraźnie zwolnił. Wtedy, ku przerażeniu Toma, jeździec spał go ostrogami.

— Cholerny durniu! — ryknął Tom.

W tej samej chwili, kilka jardów przed nim, wyszła z pola Martha. Na moment obezwładnił go paniczny lęk. Potem rzucił się do przodu, krzycząc i wymachując rękami — bez skutku. Koń, wyćwiczony do atakowania wyjących hord, nie zwracał uwagi na przerażonego ojca. Martha stała na środku wąskiej ścieżki i jak zahipnotyzowana wpatrywała się w pędzącą na nią ogromną bestię. Tom uświadomił sobie z rozpaczą, że nie zdoła zapobiec nieszczęściu. Biegając, zбочzył w pole. Niemal w ostatniej chwili koń skręcił w bok po przeciwnej stronie. Strzemię musnęło delikatne włosy Marthy, kopyto wybiło okrągłą dziurę w ziemi tuż obok jej bosej stopy. Rumak minął ich, obsypując oboje kurzem. Tom porwał córkę w ramiona i przycisnął mocno do łomoczącego serca.

Stał tak, nie czując rąk i nóg, słaby jak mucha, oddychając z ulgą. Nagle ogarnęła go złość na myśl o lekkomyślności tego głupiego młodzika na potężnym wierzchowcu. Spojrzął gniewnie w górę. Lord William właśnie powstrzymał konia. Siedział w siodle odchylony do tyłu, zapierając się na wypchniętych do przodu strzemionach i z całej siły ciągnąc wodze. Koń skręcił w stronę budowy, rzucił głową, wierzgnął, ale William utrzymał się w siodle. Przeszedł w cwał, a potem idąc truchtem, zatoczył szerokie koło po placu.

Martha płakała. Tom podał dziewczynkę Agnes i czekał na Williama. Młody pan był wysokim, dobrze zbudowanym dwudziestolatkiem o złotych włosach i wąskich oczach, które wyglądały tak, jakby wciąż patrzył w słońce. Miał na sobie krótką czarną tunikę i czarne pończochy, na nogach skórzane buty z paskami wiązаныmi krzyżowo aż do kolan. Siedział wyprostowany i nie sprawiał wrażenia poruszonego tym, co zaszło. Ten głupek nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, co zrobił, pomyślał z goryczą Tom. Należałoby skrócić

mu kark.

William zatrzymał konia przed stosem drewna i spojrzał w dół na budowniczych.

— Kto tu rządzi? — spytał.

Tom chciał powiedzieć: „Gdybyś zranił moją małą, zabiłbym cię”, ale stłumił złość i z trudem przełknął gorycz wypełniającą mu usta. Zbliżył się do konia i chwycił uzdę.

— Ja jestem mistrzem — powiedział, zaciskając zęby. — Nazywam się Tom Budowniczy.

— Ten dom nie będzie już potrzebny — oznajmił William. — Zwolnij swych ludzi.

Tego właśnie Tom obawiał się najbardziej, ale łudził się nadzieją, że William da się przekonać do zmiany zdania, kiedy ostygnie jego gniew. Starając się nadać przyjazny ton głosowi, odezwał się rozsądnie:

— Tyle pracy wykonano do tej pory, że szkoda marnować to, co już wydano na budowę. Kiedyś ten dom się przyda.

— Nie mów mi, jak mam się zajmować swoimi sprawami, Tomie Budowniczy. Wszyscy jesteście zwolnieni. — Szarpnął wodze, Tom jednak trzymał uzdę.

— Puść mego konia — rzucił groźnie jeździec.

Tom przełknął ślinę. Za chwilę William spróbuje poderwać wierzchowca. Wyjął z kieszeni fartucha kromkę chleba i podsunął ją koniowi, który wyciągnął łeb i ugryzł kawałek.

— Panie mój, są sprawy, o których trzeba porozmawiać, nim odjedziesz — powiedział łagodnie.

— Puść mego konia albo zetnę ci głowę — zagroził lord.

Tom patrzył mu prosto w oczy, próbując nie okazać tego, że się boi. Był większy od Williama, ale to nie będzie miało znaczenia, jeśli młody pan wyciągnie miecz.

— Och, mężu, zrób to, co nasz pan ci każe — lękliwie mruknęła Agnes.

Zapadła śmiertelna cisza. Robotnicy stali w milczeniu, nieruchomo jak posągi. Obserwowali. Tom wiedział, że powinien wykonać polecenie, ale William omal nie stratował jego córeczki. Ta myśl doprowadziła Toma do szaleństwa. Z bijącym sercem powiedział:

— Musi nam pan zapłacić.

William pociągnął silniej wodze, lecz Tom trzymał uzdę krótko, a koń, zdezorientowany, trącał nosem kieszeń fartucha w poszukiwaniu chleba.

— Po pieniądze zgłoś się do mego ojca! — ze złością prychnął William.

— Tak zrobimy, panie, i dziękujemy bardzo — przerażonym głosem odezwał się cieśla.

Nędzny tchórz, pomyślał Tom, ale sam zadrzał. Mimo to zmusił się do powiedzenia:

— Jeśli chcesz nas zwolnić, panie, to musisz nam zapłacić zgodnie ze zwyczajem. Dom twego ojca, panie, jest o dwa dni drogi stąd, a kiedy tam

dojdziemy, możemy go nie zastać.

— Za mniejsze rzeczy ludzie ginęli! — krzyknął William, a policzki poczerwieniały mu z gniewu.

Kątem oka Tom dostrzegł, że giermek podniósł rękę do rękojeści swego miecza. Wiedział, że powinien się teraz poddać, upokorzyć, ale skręcała go wściekłość i był tak przestraszony, że nie potrafił zmusić się do puszczenia uzdy.

— Wpierw nam zapłać, a potem mnie zabij — oświadczył lekkomyślnie. — Możesz za to zawisnąć albo nie; umrzesz i tak, prędzej czy później, a wtedy ja będę w niebie, a ty w piekle.

Szyderstwo zamarło na twarzy Williama, zbladł. Tom był zaskoczony. Cóż mogło tak wystraszyć tego młodzieńca? Na pewno nie słowa o powieszeniu. Do czego to podobne, by mieli wieszać pana za zabójstwo rzemieślnika. Czyżby tak przeraził się piekła?

Patrzyli na siebie przez kilka chwil. Tom ze zdumieniem i ulgą obserwował, jak w twarzy Williama wyraz gniewu połączonego z pogardą ustępuje miejsca panicznemu lękowi. W końcu wyjął zza pasa skózaną sakiewkę i rzucił giermkowi, mówiąc:

— Zapłać im.

W tym momencie Tom postanowił jeszcze raz spróbować szczęścia. Kiedy William znowu pociągnął wodze, a koń uniósł silną głowę, odstępując w bok, Tom ruszył wraz z nim i wciąż z ręką na uździe powiedział:

— Za zwolnienie płaci się pełną tygodniówkę, taki jest zwyczaj. — Tuż za sobą usłyszał ostry oddech Agnes i wiedział, że pomyślała, iż musiał zwariować, skoro przeciąga tę sprawę. Brnął jednak dalej: — To znaczy po sześć pensów dla robotnika, dwanaście dla cieśli i każdego murarza, a dwadzieścia cztery dla mnie. Razem sześćdziesiąt sześć pensów. — Potrafił dodawać pensy szybciej niż ktokolwiek spośród ludzi, których znał.

Giermek pytająco spoglądał na swego pana. William warknął ze złością:

— Bardzo dobrze.

Tom rozluźnił chwyt i puścił uzdę. Odsunął się.

Koń zawrócił i William spał go mocno. Rumak pognał naprzód ścieżką przez pole pszenicy.

Tom usiadł na stosie drewna. Zastanawiał się, co go napadło, by tak wyzywająco przeciwstawić się lordowi Williamowi. Toż to szaleństwo. Czuł, że miał szczęście, iż jeszcze żyje.

Tętent kopyt cichł w oddali niczym odległy grzmot, a giermek wysypał zawartość sakiewki na ławę. Na widok srebrnych pensów lśniących w słońcu Tom uśmiechnął się triumfalnie. Oszalał, ale to poskutkowało. Zapewnił sobie i swym pracownikom zapłatę.

— Nawet panowie muszą się podporządkować zwyczajom — powiedział na pół do siebie.

— Teraz tylko miej nadzieję, że nigdy nie będziesz potrzebował prosić o pracę lorda Williama — odezwała się ponuro Agnes, która usłyszała jego słowa.

Tom się do niej uśmiechnął. Rozumiał, że jej szorstkość jest wynikiem

strachu.

— Nie rób takiej kwaśnej miny, bo całe mleko w piersiach zsiądzie ci się i oseskowi dasz twaróg.

— I tak nie uda mi się nakarmić nas w zimie, jeśli nie znajdziesz pracy.

— Do zimy jeszcze daleko — odparł Tom.

II

Lato spędzili w wiosce. Później tę decyzję ocenili jako straszliwy błąd, na razie jednak wydawała się rozsądna, gdyż Tom, Agnes i Alfred mogli zarobić pensa dziennie, pracując w polu przy żniwach. Kiedy nadeszła jesień, musieli odejść, ale mieszek mieli ciężki, pełen srebrnych pensów, a oprócz tego prowadzili upasioną świnię.

Pierwszą noc spędzili na ganku wiejskiego kościoła, drugiego zaś dnia trafili do klasztoru i skorzystali z gościnności zakonników. Trzeciego dnia znaleźli się w sercu Chute Forest, rozległej przestrzeni pokrytej gęstwiną zarośli i dzikiego lasu, przez który prowadził trakt, nie szerszy niż woli zaprzęg, wysadzany po obu stronach starymi dębami.

Tom niósł mniejsze narzędzia w kalecie, a młotki zawiesił przy pasie. Ciasno zwiniętą oponcę umieścił pod lewą pachą, latę zaś trzymał w prawej ręce, wykorzystując ją jako podróżny kostur. Cieszył się, że znowu jest w drodze. Następną pracą może być budowa katedry, gdzie zostanie mistrzem i będzie miał robotę na resztę życia, a kościół, który zbuduje, okaże się tak piękny, że Tom z pewnością pójdzie do nieba.

Nieliczne przedmioty domowego użytku, jakie mieli, Agnes schowała do kociołka, który przywiązała na plecach. Alfred niósł parę narzędzi niezbędnych do prac budowlanych: siekierę, toporek ciesielski, piłę, mały młotek, szpikulec do robienia dziur w skórze i drewnie oraz łopatę. Martha była za mała, by nieść coś więcej niż swój kubek i nożyk, przytroczone do pasa, i zimowe okrycie przymocowane do pleców. Poza tym miała obowiązek prowadzenia na sznurku świni, dopóki jej nie sprzedadzą na targu.

Kiedy tak szli przez niekończące się lasy, Tom przyglądał się Agnes. Minęła już połowa okresu ciąży, więc to, co dźwigała z przodu, już dawało się porównać z tym, co miała na plecach. Nie wydawała się jednak zmęczona. Alfred też wyglądał dobrze; był w wieku, w którym chłopcy mają więcej energii niż wiedzy na temat tego, jak ją spożytkować. Męczyła się tylko Martha. Jej szczupłe nóżki nadawały się do wesołej gonitwy, a nie do długich marszów, dlatego nieustannie zostawała z tyłu, tak że reszta musiała zatrzymać się i czekać, aż dziewczynka dogoni ich, ciągnąc świnię. Tom rozmyślał też o katedrze, którą kiedyś wybuduje. Szkicował w myślach arkady. To było łatwe: dwie proste połączone łukiem. Potem wyobraził sobie kilka następnych, by uformować jeden większy element. Później dodawał kolejne, aż miał ich cały rząd, wszystkie uporządkowane jedna za drugą,

tworzące tunel. Oto istota jego budowli: chroniący od deszczu dach i dwie ściany podtrzymujące go. Kościół to po prostu udoskonalony korytarz.

Tunel był ciemny, więc pierwszym ulepszeniem powinny być okna. Jeśli ściany okażą się wystarczająco silne, to można robić w nich otwory. Będą one górą zaokrąglone, o prostych bokach i płaskich parapetach — kształt ten sam, co arkada. Ustalenie form okien i drzwi było pierwszą zasadą projektowania jednej budowli. Drugą była ich powtarzalność: wyobraził sobie dwanaście jednakowych okien, równo rozmieszczonych wzdłuż obu ścian tunelu.

Tom spróbował wymyślić jeszcze wyprofilowanie otworów, ale nie mógł się skupić, czuł bowiem, że ktoś go obserwuje. To głupie — obruszył się na siebie, przecież stale był obserwowany przez ptaki, lisy, koty, myszy, łasice, wiewiórki, nornice i gronostaje, które żyły w lesie.

Po południu Martha opadła z sił. W pewnej chwili została ze sto jardów za nimi. Stojąc i czekając, aż dołączy, Tom przypomniał sobie, jaki był w jej wieku Alfred — ładny złotowłosy chłopiec, krzepki i śmiały. Zadowolenie mieszało się z irytacją, kiedy patrzył na Marthę strofującą świnię za zbyt wolny marsz. Raptem jakaś postać wyszła z krzaków tuż przed nią. Krzyk przerażenia rósł Tomowi w gardle. Wszystko stało się tak szybko, że trudno mu było w to uwierzyć. Człowiek, który nagle pojawił się na trakcie, uniósł maczugę. Zanim Tom zdołał wydać okrzyk, Martha, uderzona w bok główki, padła na ziemię jak porzucona szmaciana lalka. Usłyszał mdlący dźwięk.

Uświadomił sobie, że biegnie, a jego stopy wałają w twardej grunty jak kopyta wierzchowca lorda Williama, i chciał, by nogi niosły go jeszcze szybciej. Czuł się tak, jakby oglądał obraz namalowany wysoko na ścianie kościoła — widział, co się dzieje, i nie mógł nic zrobić, aby cokolwiek zmienić. Atakujący bez wątpienia był banitą. Bosonogi, niski, krępy mężczyzna w brązowej tunice. Przez chwilę spoglądał prosto na Toma, który mógł dzięki temu przyjrzeć się jego twarzy. Miał odcięte wargi, co świadczyło o tym, że najprawdopodobniej został ukarany za kłamstwo. Jego usta otoczone ściągniętą bliznami skórą były odpychająco wykrzywione. Ten obrzydliwy widok powstrzymałby Toma, gdyby nie kruche ciało Marthy leżące na ziemi.

Napastnik odwrócił wzrok od Toma i zatrzymał go na świni. W mgnieniu oka schylił się, porwał kwiczące zwierzę i błyskawicznie zaszył się w splątanych gąszczu, z którego wyskoczył. Zabrał ze sobą jedyną wartościową rzecz, jaką Tom i jego rodzina posiadali.

Tom padł na kolana obok Marthy. Położywszy szeroką dłoń na jej piersi, wyczuł, że serce bije równo i mocno, co odsunęło najgorsze podejrzenie. Oczywiście jednak miała zamknięte, a jasne włosy plamiła krew.

Chwilę później uklękła przy nim Agnes. Dotknęła piersi dziecka, przegubu ręki i czoła, po czym twardo spojrzała na męża.

— Będzie żyć. Sprowadź tę świnię z powrotem — powiedziała ze ściśniętym gardłem.

Tom szybko odwiązał kaletę z narzędziami i rzucił ją na ziemię. Lewą ręką wyciągnął zza pasa ciężki, żelazny młot. W prawej trzymał łatę. Widział

stratowane krzaki, które dy złodziej wszedł na drogę i które dy uciekł, słyszał także świnię kwiczącą w lesie. Zanurkował w gąszczu.

Banita był mocno zbudowany, uciekał, trzymając pod pachą wyrwijące się zwierzę, więc w leśnym poszyciu zostawiał szeroką ścieżkę podeptanych kwiatów, połamanych krzewów i młodych drzewek. Trop był wyraźny. Tom parł do przodu, pędzony żądzą zemsty. Przedarł się przez brzozy zagajnik i zbiegł w dół po zboczu, aż plasnął w małe bagienko, skąd wychodziła wążutka ścieżynka. Tam się zatrzymał. Złodziej mógł pójść w lewo lub w prawo, tutaj nie było już śladów w postaci zniszczonych roślin. Tom zaczął nasłuchiwać, z lewej strony dobiegł go kwik świni. Zdołał także usłyszeć, że ktoś podąża drogą, którą przebył — prawdopodobnie Alfred. Ruszył dalej.

Ścieżka prowadziła w dół, potem raptownie skręcała i zaczynała się wznosić. Teraz usłyszał wyraźnie kwiczenie świni. Wbiegł na wzgórze, oddychając z trudem. Lata wdychania kamiennego pyłu osłabiły mu płuca. Dróżka nagle się wyrównała i zobaczył złodzieja, za ledwie dwadzieścia, trzydzieści jardów dalej, zmykającego, jakby gonił go diabeł. Tom zerwał się do biegu, odległość między nimi wciąż malała. Z pewnością go dogoni, jeśli tylko zdoła utrzymać tempo, bo człowiek obciążony swinią nie może biec szybko. Teraz jednak czuł w piersiach ból. Od złodzieja dzieliło go piętnaście jardów, potem dwanaście. Tom podniósł łatę nad głowę, jakby to była włócznia. Jeszcze parę kroków i rzuci. Jedenaście jardów, dziesięć...

I wtedy kątem oka dostrzegł chudą twarz pod zieloną czapką, wylaniającą się z krzaków obok ścieżki. Za późno na unik. Ciężki pał wylądował tuż przed nim i Tom potknął się i runął na ziemię.

Upuścił łatę, ale wciąż jeszcze trzymał młot. Przetoczył się i podniósł na kolano. Zobaczył, że jest ich dwóch — ten pierwszy w zielonym kapeluszu i drugi, łysy z potarganą białą brodą. Rzucili się na niego.

Zrobił krok w bok i zamachnął się w stronę zielonego kapelusza. Ten się uchylił, ale wielki, żelazny młot spadł ciężko na bark mężczyzny, który zaskrzeczał z bólu i upadł na ziemię, trzymając ramię, jakby było złamane. Tom nie miał czasu, by ponowić miażdżący cios, zanim zbliży się ten łysy, więc pchnął młot w twarz nadbiegającego i rozłupał mu szczękę.

Obaj napastnicy zaczęli się wycofywać. Tom widział, że żaden z nich nie pali się do dalszej walki. Rozejrzał się dookoła. Złodziej uciekał ścieżką. Lekceważąc ból w piersiach, pobiegł za nim. Przebył jednak za ledwie kilka jardów, kiedy usłyszał za sobą znajomy głos.

Alfred.

Zatrzymał się i obejrzał. Używając pięści i nóg, Alfred walczył z tymi dwoma. Uderzył mężczyznę w zielonym kapeluszu kilka razy w głowę, potem kopał po gołeniach łysego. Ale napastnicy napierali na niego, biorąc go między siebie, tak że nie mógł się bronić. Tom nie wiedział, czy kontynuować pościg, czy pomóc synowi. Wtedy łysy podstawił Alfredowi nogę. Kiedy chłopiec padł na ziemię, skoczyli na niego, obsypując gradem uderzeń.

Zawrócił.